ROK I NR. 5

SKAWA

MIESIĘCZNIK LITERACKI

WARSZAWA MAJ 1939 CENA 50 GR.

SKAWA

miesięcznik literacki

pod redakcją

JANINY BRZOSTOWSKIEJ

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA: UL. NOWOGRODZKA Nr. 23, m. 5. TEL. 9-55-88

Godziny przyjęć redakcji: wtorki 5—7

Cena numeru pojedyńczego	0.50 gr
W prenumeracie rocznej	6.— „
„ półrocznej	3.— „

wraz z kosztami przesyłki i opakowania.

S K A W A

NR. 5 **1939**

S. I. WITKIEWICZ

ZNACZENIE CODZIENNO-ŻYCIOWE TEORJI KRETSCHMERA

(Fragment „Niemytych dusz").

Znajomość teorii*) Kretschmera, połączona z możnością odgadywania, według dość rzucających się w oczy cech zewnętrznych, całej skomplikowanej psychiki danego osobnika, a choćby jego rysów zasadniczych, może oddać w życiu każdego absolutnie człowieka nieocenione usługi, usunąć wiele nieporozumień ze samym sobą i z innymi, zatłumić w zarodku całe masy tragedii, lub możliwych długotrwałych cierpień z powodu nieuzasadnionych pretensji do siebie i otoczenia. Banalnem jest powiedzenie o trudności poznania siebie — jeszcze trudniej zrozumieć do jakiego gatunku należymy społecznie, poza przesądami przypadkowego urodzenia w danej sferze. Przypadkowego mówię w stosunku do czasów obecnych, gdzie kultura duchowa rozlana jest w pewnej wysokości mniej więcej równomiernie. Do niedawna było to decydującem w kwestji kształtowania się charakteru i umysłu, wogóle całego uczuciowego i światopoglądowego nastawienia do rzeczywistości. Do tej pierwszej orjentacji w sobie i w innych daje odrazu klucz teorija Kretschmera.

Weźmy parę przykładów — będą one wymyślone, więc może trochę przejaskrawione lub zbyt schematyczne, ale może lepiej przez to uzmysłowią to, o co mi chodzi.

1. Np. matka, długonosa schizoidka, wyrafinowana i subtelna intelektualistka, ma syna pyknika, podobnego do ojca, którego już znienawidziła za jego przeciwny jej, jowalny, otwarty, trochę „rubaszny" (ohydne słowo ale trudno) charakter. Chciałaby za wszelką cenę, aby syn, który jest fizycznie wykapany papa, (z lekką komponentą (składową całości) schizoidalną, pozwalającą mu trochę (ale

*) Podział wszystkich ludzi na dwa zasadnicze typy (mające jeszcze swoje poddziały): ogólnie cyklotymików (cieleśnie: pykników: grubych, duchowo otwartych) i schizotymików (cieleśnie: leptosmów, chudych i w sobie zamkniętych). Do tego dołączają się jeszcze typy atletyczne o „duszy" schizotymicznej, i dysplastyczne eunuchoidy. Zasada: ścisły związek struktury psychicznej ze strukturą ciała: szpital warjatów — szkło powiększające dla obserwacji normalnej miazgi ludzkiej.

niebardzo) rozumieć matkę od środka], chociaż „moralnie“ nie był taki jak jego twórca. Nie rozumie biedaczka, że profil i t. zw. „dusza“ to jedna i ta sama rzecz, oglądana raz od „środka“, a drugi raz z „boku“ i dalejże huzia na nieszczęśliwego pykniczeńkę, który w innych rękach stałby się byczym snardzem — (to słowo proponuję zamiast ohydnego dość słowa „facet“; na zarzut, że zanadto do smardza podobne odpowiadam: a facet do taceta podobny był i nic mu się nie stało). I mały, który jest realistą i komikiem, dalekim od zimnej schizoidalnej estetyki uczuć i formalnych wyrafinowań, dostaje codziennie porcję jakiejś „dressirowki“ od długonosej mamy-despotki, że mu oko systematycznie bieleje, bieleje, aż wychodzi do szkoły i tam odnajduje siebie wśród podobnych mu typków, a dom staje się dla niego zamiast przystanią, ponurą zmorą przeszłości.

Gdyby mama owa wiedziała, że są pewne niezmienne psychiczne typy, których żadna tresura na coś diametralnie przeciwnego nie urobi, zostawiłaby może pewną swobodę ducha nieszczęśnikowi i traktowała go raczej jako okaz do swej kolekcji typów i pokochałaby go w jego inności, zamiast łamać mu duchowy kręgosłup w formie, do której on nie pasuje.

2. Weźmy przykład odwrotny: matka pykniczka, syn zakręcony w sobie, zalękniony przed rzeczywistością schizoid. Jeszcze gorzej się wiedzie biednemu „schyziowi“ — wychowańcowi w takiej kombinacji. O ile poprzedni typek był trochę brutalnym życiowcem i mógł sobie dać radę z dysharmoniami codziennego dnia i wtłaczaniem mu nieodpowiedniej maski, o tyle los młodego „leptosoma“ jest poprostu straszny. Znane są w szerokich kołach mętów literackich stolicy piosenki, niezmiernie dowcipne (pod wpływem Boya i Słonimskiego z wielkim nakładem pracy i humorem stworzone), ilustrujące dobitnie ten stan rzeczy:

Cóż to jest za, ach ohyda
Ja mam syna schizoida!
Czemuś nie jest, Ty, pyknikiem
Tylko tym wymokłym smykiem.

Albo:
Co za rozpacz mię przenika
Ja za syna mam pyknika!
Czemuś nie jest cienki w pasie,
Ty, ohydny mój grubasie.

Na wszelkie ataki pyknizmu reaguje bubek ów bolesnem skurczeniem się, lub wyniosłem zamknięciem się w sobie, które powiększają tylko wściekłość otaczających go wrogich elementów pyknicznych. „Kompleksy“ freudowskie na tle zahamowań rosną jak na drożdżach — młody „snardz“ odcina się od świata i powoli, ku coraz gorszemu oburzeniu rodziny, (bo jeśli ojciec jest też pyknikiem, a on

wdał się w „przemendlowaną“ babkę*) to wszyscy, i ew. pykniczne rodzeństwo są przeciw niemu— a wtedy koniec: zamęczą zdechlaka ze szczętem. I może jakiś możliwy geniusz schizodalny, filozof lub artysta prawdziwy tj. formalny, zginie w jakimś urzędzie czy przy warsztacie jak nie pyszny, bo nie jest pyknikiem: to była jego jedyna wina: chciano od niego pogody, życiowego realizmu, określonych uczuć, otwartości i dobroduszności, a ten „drań“ był skryty, subtelny esteta, wyrafinowany t. zw. arystokrata ducha, intelektualista i trochę dumny pyszałek. I ta ostatnia wada sprowadziła nań nienawiść klanu pospolitych pykniczeńków.

Wszystkie te pretensje niczem nie uzasadnione, które zatłamszają, przez nie-zrozumienie głęboko sięgających niewykorzenialnych struktur duchowych, tyle wartościowych indywidów, lub conajmniej wykoszlawiają tyle charakterów i egzystencji, mogłyby ustać, gdyby ludzie rozumieli się trochę lepiej wzajemnie. Strach pomyśleć ile wartościowej energii indywidualnej i bezpośrednio społecznej idzie na marne wskutek tarć wśród rodzin, a następnie w szkołach, a dalej w swobodnem życiu.

Nie można łamać w ludziach rzeczy nieprzełamalnych; tylko wtedy może być spełniony klasyczny ideał: harmonijnego rozwoju wszystkich *dodatnich* elementów osobowości. (Oczywiście mówię o indywiduach — społecznie biorąc możliwości są wprost nieograniczone). Co to są za elementy dodatnie wszyscy mniej więcej wiedzą. Ale rzecz główna aby każdy był sobą, a nie udawał kogoś kim nie jest, nie grał całe życie często wstrętnej mu, narzuconej przez wychowanie i tradycje, nie pasującej doń roli. Takie uświadomienie ogólnikowe i doraźne co do istoty danego osobnika dać może tylko teorja Kretschmera, wpajana w ludzi od pierwszej klasy gimnazjalnej.

Jeszcze pyknicy zawsze jakoś dadzą sobie radę i przebiją się nawet przez mury schizoidalnych fortec wokół nich na wolny świat ich własnych form życiowej twórczości, ale los schizoidów jest fatalny i oni też na stanowiskach wychowawczych lub władczych, począwszy od nauczycieli szkół ludowych, prócz mnóstwa dobra, najwięcej złego przynieść mogą: sam byłem kiedyś, we wczesnej młodości typowym schizoidem i wiem dobrze co to znaczy. Bo pyknik ma zasadniczy instynkt życia wśród ludzi, ma intuicję psychologiczną, umie stosunkowo więcej różniczkować typy wokół siebie. Ale normalny schyzio przekonany jest, że wszyscy są absolutnie podobni do niego i że innych typów wogóle nie ma; trwa ciągła introjekcja własnej psychiki w otaczających go nieszczęśników, którzy cierpią męki, będąc deformowanymi na żywo i posądzanymi o rzeczy, o których się im nigdy nie śniło. Jeszcze jeśli taki człowiek zna przynaj-

*) Straszna to jest rzecz używać takich wyrazów i takie rzeczy opisywać terminem, stworzonym z nazwiska schlachetnego duchownego, który bawił się tylko kolorowymi groszkami (Ksiądz Mendel).

mniej choć trochę Freuda może go to trochę złagodzić w jego niezrozumieniu drugich i despotyźmie, ale taka „czysta“, t. j. nieuświadomiona zupełnie „niemyta dusza“ tj. snardz (ew. snardzka, snardzetka, snardzica) niesfreudyzowany i nieskretschmeryzowany) przy dzisiejszej komplikacji życia i psychiki ludzkiej, to rzecz wprost i wręcz potworna.

Przypomnijmy sobie wszystkie dręczenia uczniów i wogóle podwładnych przez profesorów i przełożonych. Oczywiście nie zwracam się tu do uświadomionych złoczyńców, którzy chcą być świniami, a tych są tabuny całe. Chodzi mi tu o tych, którzy chcą być dobrzy, w największem, a nie flakowatem i rozmiękczonem, znaczeniu tego słowa, a nie mogą, bo 1) nie znają zupełnie siebie i nie wiedzą kim(i) są oni sami i otaczający ich ludzie, a nadewszystko nie wiedzą kim(i) być mogą, a kim(i), choćby pękli na czworo, nie mogą; 2) nie znają kompleksów freudowskich i myśląc, że postępują swobodnie i według programu, staczają się po niewidocznych pochyłostkach w zupełnie nieoczekiwane sytuacje, z których wygrzebać się potem bez pomocy innych nie mogą — ale o tem później.

Wróćmy narazie do kwestji typów konstytucjonalnych i z nieznajomości tychże wynikających nieporozumień. Jeśli takie rzeczy zachodzą w stosunkach między rodzicami i dziećmi, to cóż za zwały potwornych kolizji oczekiwać nas będą przy rozpatrywaniu stosunków erotycznych, gdzie uczucia są daleko gwałtowniejsze, gdzie poczucia własności gra o tyle większą rolę i bezwzględniej daleko przemawia z samej głębi ludzko-bydlęcych bebechów, niż między dwoma pokoleniami: między wytwórcami i ich płodami. Tam stwarzają się istne piekła (Inferno Domestico) przykryte często takiemi festonami, girlandami, wisiorami, lambrekinami, firankami i parawanami kłamstw, że powierzchowny obserwator może być zupełnie w błąd wprowadzony, i uważać takie piekło za gniazdo szczęścia do pozazdroszczenia, lub też zupełnie mylić się co do ról i gnębicieli brać za pognębionych i odwrotnie. Przy zrozumieniu pewnem nieodwołalności charakterów, takiej samej prawie jak nieodwołalność kształtów nosów i kolorów ócz, całe masy nieporozumień odpadłyby odrazu same przez się, oczywiście przy założeniu dobrej woli ze stron obu, której ilość jednak, w miarę uspołeczniania, musi wzrastać z każdą chwilą; jest pewna entropja zła na świecie na mocy nieodwracalności zjawisk społecznych, która jak byk jasno wychodzi przy powierzchownem nawet wglądnięciu w historję. Ale o tem później, à propos kompleksu niższości. Sądzę, że ta krótka wzmianka zachęci nawet wielkich leniwców i nierobasów do przestudiowania dzieła głównego (głównika) Kretschmera, które niedługo powinno się ukazać w przekładzie polskim*).

*) Ernst Kretschmer „Körperbau und Charakter“ Springer 1929. Po polsku ukazała się w przekładzie P. Hulki-Laskowskiego książka „Ludzie Genialni.“

KAZIMIERZ ANDRZEJ JAWORSKI

DAWNE LISTY

To nie są trupy sztywne pod całunem wstążek
z wieńcem kwiatów uschniętych w pudełeczka
trumnie,
nad którą czule czuwa skrzydlaty posążek,
by nikt snu nie zakłócał śpiącym w grobie dumnie.

W hieroglifach zaklęte sakralne wyrazy
nie zblakły przez te lata, większą moc zyskały.
Wciąż jeszcze na Zaworach stoją tamte głazy
i szept słów tamtych dzisiaj powtarzają skały.

Listy żyją — z pod liter krew czerwona chlusta,
każde zdanie się prawdą serdeczną rumieni:
oto wiara wieczysta, oto twoje usta,
oto bór niepożyty, co się w grunt wkorzenił!

JANINA BRZOSTOWSKA

WZDŁUŻ PARKANU

Rozwozi ulicami węgle w ciężkim wózku
z wyrazem tępej zgody na to, co się zdarzy.
Nie wiem czemu, gdy mija rząd miejskich ogródków
wygładzają się zmarszczki starej, zwiędłej twarzy.

Patrzy długo, i jakby z utajoną troską
na grządki, pracowitą wypieszczone ręką,
na drzewa młodych wiśni za parkanu wstążką,
ostatkiem białych płatków prószące daleko.

Kocha ziemię? — nie mówił nic o tym nikomu...
Może zapatrzonymi chce zmierzyć oczyma
trud cały, zdany łasce radosnego plonu,
i najlepszym życzeniem wita czyjeś żniwa.

ZDENKO NAŻICKI.

KOBIETY SAMOTNE *)

Już nam się sprzykrzyły te dni nazbyt zwykłe,
szaruga jesieni, czarny chleb codzienny,
chciałybyśmy kroczyć śród maków rozkwitłych
wśród spojrzeń zbyt śmiałych i oczu płomiennych;

Krzepkości przewidziwnej nadając swym biodrom
idziemy tu same i nikt o nas nie wie —
nosim w sercu smutki, nasze usta chłodne
całuje wiatr jeno — niechętnym powiewem...

Idziemy, przechodząc w zapomnieniu co dnia
kobiety tragiczne... kobiety samotne...
Przeł. Andrzej Plichota

JANINA BRZOSTOWSKA

SŁOWA NA STRUMIENIU

Gdy stare drzewa parku swą pieśń na wietrze chwiały,
wyznałem ci swą miłość — w czerwcowy, ciepły wieczór.
Róż zapach mnie urzekał najsłodszy, a nietrwały,
gwiazdy mię uwodziły — czemużeś nic nie przeczuł?

Nie trzeba było wierzyć... Czar stroił park przed nami —
to on mi podpowiadał — słowa nie były moje.
Czar nam przemieniał serca, ciebie i mnie omamił;
gwiazdami kwitł nad głową, pachnącym kwitł powojem.

Jak w czarnoksięskim kręgu dokoła nas, w drzew cieniu
miłość święciła gody swej mocy gorejącej.
Słowa szeptane w wietrze, pisane na strumieniu,
nie moim były grzechem, lecz tej wiosennej nocy.

Sam wiesz, że z parku tego pnie kiedyś nie zostaną,
że się rozsypie próchnem — stojący dziś w urodzie,
a miłość po wiek wieków, pięknością nieprzebraną,
uwodzić będzie serca, jak dzisiaj nas uwodzi — —*)

---

*) Przekłady z tomu p. t. „Fiolowa barva" Mor. Ostrawa 1936.

*) Wiersz z tomu „Żywioł i śpiew" który ukaże się niebawem nakł. „T. Hoesick".

RYSZARD HAJDUK.

ZMIERZCH

Nowela

Półmrok już zapanował. Przez fajerki kuchni przeglądał ogień i drżał niespokojnie jasnymi kręgami na suficie. Przy piecu na stołeczku siedział stary Ochromski pykając leniwie fajkę, wpatrzony w wiszący zegar wagowy, oświetlony wyraźnie przez wpadające do kuchni światło lampy przydrożnej. Pokrzywione wahadło tykało miarowo a jego dziwaczny cień snuł się bezustannie po ścianie — jakgdyby chąc się gdzieś ukryć i zaszyć w ciemności.

Duża wskazówka znalazła się teraz dokładnie u zenitu tarczy i jeden łańcuch z przytwierdzoną na końcu wagą począł się wolno opuszczać ku podłodze, a w kuchni rozległo się przytłumione bicie. Potem lekki trzask-waga zatrzymała się — i znowu cisza... tylko cień wahadła tłukł się dalej bezmyślnie po ścianie.

Była godzina ósma.

Stary Ochromski zapalił powtórnie fajkę która mu zgasła i na nowo popadł w zadumę. Lubił wsłuchiwać się w jednostajne tykanie zegara. Zawsze gdy nie było nikogo w domu, siadywał na stołeczku z fajką w zębach i słuchał jego monotonnego opowiadania. Słuchał — milczał i dumał...

A zegar szemrał bezustannie... Ubolewał nad swym wygiętym wahadłem, nad swa złamana wskazówka, nad poczerniałym od starości cyferblatem. Ubolewał nad swa dolą. Skarżył się, — że już dawno chciano go wynieść na strych, aż wreszcie dzięki staremu Ochromskiemu przeniesiony został tylko do kuchni, — że miejsce jego w sypialni zajął duży, stojący, szafkowy zegar nie szpecacy już swym wyglądem „nowocześnie" umeblowanego mieszkania. Skarżył się bez przerwy, skarżył się otaczającej go ciszy i staremu Ochromskiemu.

A Ochromski wysłuchiwał wszystkich jego skarg i narzekań. Słuchał — milczał i dumał... Pogrążał się w tej monotonnej szemraninie z wszystkimi swymi troskami i niepowodzeniami. Jak małe dziecko w obliczu strachu chwyta się kurczowo matczynej sukni — tak on w ucieczce przed nieuznającym kompromisów życiem zaszywał się w ten rozkołysany woal szeptu. Wolniutko sączyły się z ust słowa bólu, skargi i żalu — wpadały w to pomarszczone ruchem wahadła bajorko czasu... rozpływały się i... nikły...

Drzwi lekko skrzypnęły i do kuchni wsunął się mały Kazio. Cichy trzask opadającej klamki wyrwał Ochromskiego z zadumy.

— Co? Ty jeszcze nie śpisz? Dzieci w twoim wieku już dawno śpią.

— Nie, spałem trochę w sypialni na kozetce. Mamusi jeszcze

nie ma? — pytał Kazik wycierając zaciśniętymi piąstkami rozespane oczy.

— Nie. — Nie ma jeszcze, ale zaraz muszą przyjść. Zapalno światło, zobaczymy która godzina.

Chłopak przekręcił kontakt i pokój zalała kłująca jasność. Wahadło kołysało się ciągle — tylko cień jego stał się wyraźniejszy i mniejszy.

Ochromski przyzwyczaiwszy oczy do światła spojrzał na zegar. — Za piętnaście dziewiąta. Powiedzieli, że przyjdą o wpół do dziesiątej.

— Dopiero, — westchnął, ziewając Kazik i usiadł na krześle niedaleko Ochromskiego. Wzrok jego padł na wagi zegara, które prawie że dotykały podłogi. Ożywił się.

— Dziadziusiu, — rzekł spoglądając prosząco na Ochromskiego, — czy mogę podciągnąć ciężarki u zegara?

— Ależ możesz, — uśmiechnął się dobrotliwie Ochromski — tylko uważaj abyś go broń Boże nie zrzucił. Ciągnij więc uważnie i powoli. — Słowa te powtarzał zawsze, ilekroć chłopak nakręcał zegar i przy najmniejszym szarpnięciu, padało odrazu ostro: Uważaj!

Kazik podsunął sobie krzesło ku ścianie i stanąwszy na nie, ujął w jedną rękę wagę a drugą ciągnął wolno przeciwny koniec łańcucha. Czynność ta należała już stale do niego i dochodziło nawet do płaczu, gdy dziadek uprzedził go czasem w tym zajęciu. Uważnie spoglądał zawsze na otwór w skrzynce zegara gdzie znikał łańcuch a przeskakujące ogniwo wydawało słaby trzask. Intrygowało go jednak zatrzymanie się wahadła gdy podnosił drugą wagę. Powód tego zatrzymania tłumaczył mu już parę razy i ojciec i dziadek, jemu to jednak nie wystarczało, chciałby sam zajrzeć do wnętrza, — lecz na to nie pozwalano.

Ciężarki znalazły się już u samej góry, a on mimo to nie schodził jeszcze z krzesła, lecz z zaciekawieniem przypatrywał się obrazkom na zegarze. Po chwili dopiero, odstawiając krzesło od ściany, rzekł wolno spoglądając poważnie na Ochromskiego:

— Wie dziadziuś, jednak ten zegar jest dużo ładniejszy od tego co stoi w sypialni.

— Oj ładniejszy, ładniejszy Kaziku, — przytaknął Ochromski obejmując zegar czułym wzrokiem.

Kazik nie lubił zegara stojącego w sypialni. Cóż tam są za wagi? — Duże, wydają się bardzo ciężkie, jakoś śmiesznie blisko mechanizmu umocowane. Wahadło długie, rusza się powoli, ospale. Nie — nigdy bliżej nim się nie zainteresował. — Może dlatego, że dostępu do niego strzegła duża szyba, — lecz nie... nie podobał mu się poprostu. Był za ogromny, za potężny, za ponury, — był mu obcy. Co innego ten w kuchni — i wszystkiego dotknąć można było i obejrzeć z bliska. Potrafił godzinami wodzić paluszkiem po płytkich rowkach na skrzynce zegara, które pozostawiło ostre dłutko

rzeźbiarza i ułożyło w misterne kwiatki i listki otaczające dwa o jaskrawych barwach obrazki. Jeden — na tarczy — przedstawiał szarą polską wioskę, z nieśmiało przytulonymi do ziemi maleńkimi, słomą krytymi chatkami, przed którymi rozsiedli się wieśniacy i wieśniaczki gwarząc między sobą, a na środku ulicy bawiły się w piasku dzieci. Na drugim zaś, rozciągnęły się góry i pokierowane sprawną ręką malarza, roztoczyły przed młodymi, ciekawymi oczętami cały swój urok, z drzemiącą gdzieś na dnie przepaści potęgą i niedostępnością. Obrazki te pochłaniały i całkowicie zaprzątały jego młodą wyobraźnię. Siedział na krześle z oczami utkwionymi gdzieś przed siebie — a myślą daleko... tam na szczycie tej najwyższej góry z obrazka, na krawędzi ogromną swą paszczę rozdziawiającej przepaści.

W kuchni panowała cisza — tylko po rozhuśtanym wahadle zegara zsuwały się minione sekundy i przepadały w czasie. Na dworze szara pustka nocy przytłoczyła ziemię, a rozdrżałe świszczące struny wiatru cicho zaczęły skrobać w kwadratowe szyby.

Zegar wybił godzinę dziewiątą i jedna z wag z chrzęstem obsunęła się znacznie w dół.

Kazik drgnął.

Spojrzał na Ochromskiego, — ten drzemał spuściwszy głowę na piersi. Przez dłuższą chwilę obserwował go, rozmyślając nad czymś intensywnie, potem wstał i cicho przystawił krzesło ku zegarowi.

W pewnej chwili musiał za silnie podciągnąć którąś z wag, bo zegar ześlizgnął się z gwoździa i obiwszy się o głowę chłopca z trzaskiem spadł na podłogę.

c. d. n.

JAN KOPROWSKI

KRAJOBRAZ ŻALU

Zostały po mnie sady broczące owocem jak krwią.
Zostało gulganie wody w trzcinach i złotem sitowiu.
Odszedłem spokojnym łukiem, szeroką zielenią tą
gdzie młody widnokrąg ócz wśród starych topól
mnie powiódł.

Zboża ruszyły ławą biegnąc mi z trudem naprzeciw.
Równia wyrosła nagle kudłatym pasmem wzgórz.
Ręce osypał miałki, zgnieciony stopami kurz —
przydrożne chwasty łkały jak dzieci.

Ziemia jest wszędzie inna. To mój największy żal.
A słowa nic nie pomogą, niczego oczom nie wrócą.
Odchodzę strugą natchnienia wylękłą ziemię ucząc
poezji mojej wielkiej jak ziemi najdalsza dal.

JULJA WIELEŻYŃSKA.

...jak niegdyś pod fal światła wpływem,
Ślepy twór na świat błysnął okiem żywem,
Tak ślepa ludzkość w przyszłości zdobędzie
Do wyższych zadań konieczne narzędzie.

Asnyk.

CYWILIZACJA A KULTURA*)

Cywilizacja - kultura rozróżnienie to, biorąc ściśle, tylko teoretyczne, a może jeszcze lepiej umowne; możemy pod nie, mniej lub więcej swobodnie, podsuwać zasadę. Oba pojęcia są przeciwstawieniem natury i stają na spólnej pozycji, charakteryzując drogę, po której ludzkość szła w ciągu swego bytowania na ziemi, wbrew temu, co zastała, sposoby w jakie o n a kształtowała świat i samą siebie, w kontraście do tego, jak świat kształtował j ą. Bo to jest właśnie rozróżnienie pierwsze i walne, nasze, wzięte w nagłówek, będzie już rozszczepieniem wtórnem, a kierunek przecięcia w poglądach różnych autorów wygląda wcale rozmaicie. Sprobuję dać na tych kartach zasadę własną.

Przedewszystkiem sam rodowód, etymologja. Na rodzimym swym gruncie, w łacinie, *cultura* oznaczała uprawę, choćby znana nam po dziś dzień *agricultura*. *Colo* = uprawiam, pracuję, pochodne: *incolo* = mieszkam, *incola* = mieszkaniec, wreszcie *colonia*. Wtórnie dopiero nabrała kultura znaczenia moralnego: dbałości, troszczenia się o coś, a z niem *cultus*, kultu, uwielbienia, aż po religijne. Tymczasem cywilizacja, wyraz późny, właściwie istniejący dopiero od wieku dziewiętnastego, korzeń ma w rzymskim *civis* — obywatel, z pochodnemi: *civilis, civitas*, określającem, z piętnem dodatniości, członka społeczności rzymskiej, obywatela. W zestawieniu zatem pierwsza grupa trzymałaby się raczej znaczeniem sfery materjalnej, druga społecznej. We wziętych z wyczucia i słownika naszego wyrazach: *kultura* i owa późniejszego narodzenia: *cywilizacja*, będziemy mieli raczej wrażenie pewnego odwrócenia. Pojęcia skrzyżowały się, co nie jest w dziejach myśli czy języka wypadkiem odosobnionym. *Cywilizacja*, po tem wzajemnem przesunięciu, to niejako kultura środków zewnętrznych, kultura materjalna, *kultura* natomiast, to raczej cywilizacja moralna, czy odłam cywilizacji moralny, wewnętrzny, duchowy. Pierwszą tworzy *homo faber*, drugą *homo sentiens*, jedna urodziła się razem z najwcześniejszem narzędziem, druga z pierwszem uczuciem. Po tych dwu równoległych koleinach, świadomie rozsuniętych ponad miarę, dla

*) Wyjątek z większej całości.

łatwiejszego operowania niemi teoretycznie, potoczą się nasze dowodzenia.

Spengler w głośnej przed kilkunastu laty książce „Untergang des Abendlandes“ bliski jest rzuconego w tej chwili poglądu, kiedy powiada, że cywilizacja dotyczy przestrzenności, kultura czasowości. Jednakże dalszy bieg myśli prowadzi go do zdania, że cywilizacja jest czasową następczynią kultury, kultura bowiem, która jest właściwą wartością, gdy dochodzi do rozkwitu, czy przekwitu, staje się cywilizacją, sybarytyzmem, nadmiernem nadskakiwaniem potrzebom czy wygodom, ułatwianiu i przyjemnościom życia. Jest więc jednoznaczna z końcem, ze schyłkowością kultury, jest jej dniem przedzgonnym. Cywilizację poznajemy w wielkich dzisiejszych stolicach, podczas, gdy kultura trzyma się cichej prowincji. Gdzie już kultura wydała ciężki owoc cywilizacji, tam jutro zawali się, aby się zaczął nowy cykl *ab ovo*. Takie cykle, według Spenglera, stanowią bieg historji, a nasza doba patrzy właśnie na zjawisko, jak jedna z kultur, t. zw. zachodnia, czyli śródziemnomorska, dopełniona czy przerosła, bo już zdegenerowana w cywilizację, zbliża się do swojej tarpejskiej skały. Zmierzch to przed nowym początkiem.

Podkreśliwszy częściową zgodność poglądu mego że Spenglerem, odrazu podchwytuję usterkę jego rozumowania, t. j. niedotrzymanie podziału: przestrzenność - czasowość. Uczynił cywilizację chronologicznem następstwem i degeneracją kultury, a uznaje zarazem ich jednoczesność i spółistnienie w obrazie stolic i prowincji. Według mnie cywilizacja nie jest agonją czy przed-agonją kultury: historja zna cywilizacje młode, potężne, i pełne rozpędu, które nie są końcem, ale nieraz początkiem, jak zna i przerafinowane kultury już bez siły życiodajnej, już martwiejące. Oddalając się tedy od obrazu Spenglera, jako wyjście postawię inną ilustrację: Robinsona. Dostał się na wyspę bezludną, sam jeden, i zaczyna sobie na niej urządzać życie. Czy to, co robi, jest pracą cywilizacyjną czy kulturalną? Zgodnie z wytyczną, której mamy się trzymać, Robinson buduje sam dla siebie *cywilizację*. Stwarza sobie narzędzia, walczy, uosobiając w tej chwili ludzkość, która szuka miejsca w przyrodzie. Z dniem, kiedy na jego wyspie zjawia się Piętaszek, na karty książki wchodzą sprawy kulturalne: stosunek człowieka do człowieka, atmosfera społeczna i jej wymagania.

Z kolei inne oparcie myślowe. W świetnej książce Bergsona „Les deux sources de la moralité et de la religion“ może nie dosyć zwrócono uwagi na pewien szczegół. Stawia on u zaczątków kultury rozwidlenie brzemienne w największe następstwa, chwytając w genezie tę samą dwoistość, którą znakomity autor w systemie swoim tak dobitnie opracował: na inteligencję i intuicję. Otóż jeszcze bardzo nisko, o samym rozbrzasku życia, pod poziomem do-

stępnej historji, stawiała dzielne kroki *la faculté fabricatrice* inteligencja, mocą której człowiek zaczął wytwarzać sobie narzędzia nieodzowne w walce o byt. *L'intelligence fabricatrice*, obrócona jedynie na technikę, na unieszkodliwienie z jednej strony, a z drugiej na stopniowe zdobywanie sobie świata zewnętrznego, jest z istoty swojej ściśle indywidualistyczna. Osobnik sam dochodzi do wynalazku i na własną korzyść go obraca. Gromadzie ludzkiej, zostawionej wyłącznie w rękach inteligencji, groziłby rozprysk na luźne jednostki, a w tym rozprysku śmierć. Jednak pierwotna społeczność ma swoją samoobronę, co ją trzyma w zwarciu, a jest nią *la faculté fabulatrice*, spólna reakcja na przeżycia plemienia, wstrząsy strachu, gromadne zachwycenia i t. p., jedna interpretacja dla wszystkich i to środkami tej inteligencji, która tworzy nie w materjale zewnętrznym, ale w psychicznym. To najwcześniejsza wyobraźnia, tłomacząca świat nietylko na sposób ludzki, ale powiedzmy sobie, na sposób powieściowy, przez pewną fabułę, historję, intrygę. Oto mamy pierwszą zaródź mitów, baśni, legend, religij, zabobonów, najwcześniejszy klej społeczny, to co zczasem stanowić będzie o spoistości, już nie gromad, ale plemion, narodów. Ta gęstniejąca barwna tkanina tamować będzie charakterystyczne wyskoki naprzód inteligencji, jej rozsadzanie łączności, a opierać się jej pocznie w imię czegoś wyższego, jednego dla wszystkich, przeważnie czegoś tajemniczego.

Dzieje ludzkie iść odtąd zaczynają we wtórze tych dwu sił: motoru rwącego naprzód, ale jednostkowego, od wypadku do wypadku, — to jest inteligencji, oraz spoistości, stanowiącej o powolniejszem tempie, ale dotyczącej zato całokształtu.

O ten dwudział — wychodząc już poza Bergsona — możemy oprzeć nasz historyczny i życiowy dwugłos: cywilizacja - kultura. Jak dotychczasowe uwagi pozwalają przewidzieć, postaram się pierwiastek cywilizacyjny złączyć z bergsonowską *intelligence fabricatrice*, kulturę z *faculté fabulatrice*. Cywilizacja będzie stosunkiem człowieka czy ludzkości do przyrody, podbojem świata, rzecznikiem postępu, drogą odkryć i wynalazków; kultura będzie stanowiła raczej o spólnym dorobku społeczeństwa, o dookolu duchowem, którem opłynięci jesteśmy, jak niewidzialnem morzem, niewidzialnem, ale koniecznem. Epoki dziejowe, albo pewne odłamy ludzkości tak są zawieszone w swojej kulturalnej atmosferze, jak ziemia w swojej błękitnej powietrzni.

(d. c. n.)

JERZY EUGENIUSZ PŁOMIEŃSKI

POWIEŚĆ O DUSZY KOBIECEJ

Druga z rzędu powieść J. Brzostowskiej „Kobieta zdobywa świat“ należy do rzadkiego typu powieści lirycznych. Rzadkiego przedewszystkiem obecnie w okresie wznawiania doktryn naturalizmu, wznawiania częściowo programowego (Boguszewska i Kornacki), częściowo zaś nieświadomego, będącego jednak pośrednim refleksem nastawień współczesnej epoki literackiej. Faktografia, a więc szczególny nacisk, jaki powieść współczesna kładzie na literacką odbudowę „faktu“, i to w dwoistym kierunku, bowiem w jego zewnętrznym oraz wewnętrznym autentyzmie, pasja ekshibicjonizmu, rozwijanego również w podwójnym sensie, t. j. bezwzględnego demaskowania niecenzuralnych dziedzin życia społecznego, które to dziedziny naturalizm tropił z wyjątkową zaciekłością, zwłaszcza jego schorzenia i wynaturzenia, oraz niemniej niecenzuralnych tajników życia płciowego, wreszcie niejednokrotnie postawa wobec życia wybitnie obserwatorska, „dokumentarna“, jakby powiedział E. Zola — oto typowe objawy powrotnej fali tego kierunku liter. estetycznego. Pomijam już współczesną modę na cykle powieściowe, tak b. charakterystyczne dla powieści naturalistycznej (Zola), która krocząc drogami przyrodniczych tematów, drogami naukowych zdobyczy Kl. Bernarda (franc. fizjologa) oraz K. Darwina prawu dziedziczności psychofizjologicznej oraz psychopatologicznej przypisywała rolę rozstrzygającego czynnika w kształtowaniu osobowości ludzkich, przyczem odrzucając bezapelacyjnie metafizykę, życie duchowe człowieka traktowała jako pochodny czy wtórny wytwór procesów fizjologicznych. Pomijam dalej współczesną modę na t. zw. reportaże powieściowe, które w swoim kulcie rudymentarnej rzeczowości spłycają tylko jedno z założeń bodajże głównych estetyki naturalistycznej t j. zasadę „dokumentarności“ literatury, niestety bez dostatecznie pogłębionego odpowiednika podbudowy psychologicznej. I jeszcze jeden wymowny punkt zbieżności z naturalizmem współczesnej powieści, bezspornie wielokierunkowej, mającej swoje wyżyny oraz niepokojące mielizny t. j. jej doświadczalny charakter, zresztą, trzeba to przyznać, o wyrazie zupełnie odmiennym od eksperymentatorstwa naturalistycznego (Ioyce, Celine, Proust, u nas St. J. Witkiewicz), dalej jej chłonność intelektualna (zastrzyk psychoanalizy, Bergsonowskiego intuicjonizmu, infiltracja zagadnień ontologicznych u Witkiewicza). Ten jej charakter doświadczalny w swoim dalekim rodowodzie zdradza własne dziedzictwo naturalistyczne, ale dziedzictwo wydatnie zróżnicowane, odchylające się w wielu punktach od intelektualnych zainteresowań doby naturalistycznej. Wszak Zola najwybitniejszy pisarz tej doby a zarazem kodyfikator programu całego kierunku, w swoich pracach teoretycznych (nie

zawsze konsekwentnie) zaznaczał, że twórczość pisarza jest polem eksperymentatorstwa, dopełniającego naukowe zdobycze i osiągnięcia, a literatura stanowi laboratorium poznania charakterów oraz ich psychofizycznych mechanizmów, również sił społecznych i dziejowych. Jeżeli innym razem określał istotę sztuki i literatury jako mikrokosmos przyrody, oglądanej przez temperament artysty, to wyraźnie rozmijał się ze swoim podstawowym założeniem całkowitego uprzedmiotowienia literatury. Ale u Zoli twórca nieraz sprzeniewierzał się doktrynom teoretyka, a ten ostatni nie zawsze bywał dostatecznie konsekwentny. Tu w celach zapobiegawczych muszę się zastrzec: mówiąc o kierunku neonaturalistycznym współczesnej powieści, nie twierdzę bynajmniej, że nad całą powieścią europejską obecnej doby ciąży renesans naturalizmu. Wieloobliczność i mozaikowość tego gatunku prozy współczesnej wyklucza możliwość określania go jednorodną formułą syntetyczną, która wogóle w stosunku do złożonych zjawisk — przeważnie zawodzi. Można tu co najwyżej mówić o wydatnej rozpiętości rysów naturalistycznych w prozie obecnej.

Powieść Brzostowskiej p. t. „Kobieta zdobywa świat“ jest antynaturalistyczna. Posiada wprawdzie nurt epicki t. j. całe partie realiów, odtwarza i maluje społeczne krajobrazy rzeczywistości, przenikliwie podpatrzonej, chociaż wątłej, ponadto rozpływającej się w zgęszczonej aurze liryzmu, ale ta problematyka społeczna nie jest dostatecznie uziemniona. Nietylko w „monologach psychicznych“, subtelnie odcyfrowanych, nietylko w wybornych pejzażach przyrody, lecz również w podstawie społecznej Brzostowskiej przeważa liryzm. Jej bunt przeciw krzywdzie społecznej, przeciw tragicznej izolacji społecznej - masy proletarjackiej wykazuje rodowód raczej uczuciowy, nie legitymuje się przekonywująco na drodze racjonalistycznej. Jej bezspornie szlachetny, silny w retorycznym wyrazie, lecz nie zrośnięty organicznie z podglebiem duchowym kreacyj powieściowych humanitaryzm posiada akcenty patosu uczuciowego. Zresztą w powieści Brzostowskiej zagadnienia społeczne stanowią raczej dobudowę, rodzaj monologu autorskiego, którego objektywizacja w płaszczyźnie życia duchowego powieściowych postaci powiodła się tylko częściowo. „Kobieta zdobywa świat“ jest jeszcze jednym w najnowszej literaturze polskiej, zresztą samodzielnym wglądem w świat procesów społecznego dojrzewania kobiety. Autarkia społeczna tej ostatniej wyładowuje się u Brzostowskiej nie tyle we współtwórczych zetknięciach z konkretnym życiem społecznym, ile raczej w zdobytym prawie życiowego samostanowienia. Brzostowska przedstawia w swojej powieści z subtelnym wyczuciem duszoznawczym — dzieje nowoczesnej duszy kobiecej, sięgając do podkładów szarej, przeciętnej codzienności, nacisk jednak główny kładąc na stafaż środowiskowy, choć ukazany tylko mimochodem, epi-

zodycznie. Ten właśnie sztafaż środowiskowy stanowi nurt epicki (na ogół wątły) powieści, nad którym przeważa wydatnie wzmiankowany wyżej nurt liryczny, nieproporcjonalnie rozrośnięty. „Kobieta zdobywa świat“ demonstruje mimowoli t. j. zapewne poza świadomym zamiarem autorskim zmierzch fetyszyzmu rodziny w jej tradycyjnym znaczeniu. Temat ten dostarczył Brzostowskiej pretekstu do rozprawy (jeszcze jednej wśród wielu innych) z pomyłkami i bezdrożami t. zw. społecznej moralności.

Dramat małżeński Ewy, przedstawiony w ściszonych tonach z dalszej niejako perspektywy, przeżywany bowiem poza ogniskiem rodzinnym, nowe łożysko jej życia rodzinnego, w ramach ponownego małżeństwa, — to etapy jej duchowej historii, zobrazowane z wnikliwą intuicją psychologiczną, na których tle uwyraźnia się i kryzys współczesnej rodziny i kłamstwa oraz pozory współczesnej moralności społecznej. Zdaje się, że dla Brzostowskiej najwyższym probierzem moralnym jest miłość. Jej bohaterka powieściowa żyje w swoistym i osobistym klimacie duchowym, w którym rolę demiurga spełnia właśnie miłość. Brzostowska wyczarowuje w swojej książce magię miłosnych wzruszeń, przeżywaną przez chłonną duszę kobiecą, całą gamę ich przesubtelnych, zwiewnych półtonów, lecz w tych pastelowych opisach — jest to między innymi owa wzmiankowana przezemnie sfera monologów psychicznych — niema nic z tak charakterystycznej dla współczesnej powieści kobiecej w Polsce (z nielicznymi wyjątkami) atmosfery rozpasanego ekshibicjonizmu płciowego czy panseksualizmu.

TADEUSZ BOCHEŃSKI

Z DZIENNIKA TATRZAŃSKIEGO

VII. 19.

— — — — — — — — — — — — — — —

Ominąwszy na koniec żebra wapienne Jaworowych Skałek, wydostaję się na trawiaste zbocze Suchego Kondrackiego. Perć bardzo niewyraźna. Właściwie nie ma jej tu wcale. Na dobitkę mgławi się powietrze. Znad Rozpadliny (tak nazywa się dolina między Kopą Kondracką a bezimienną odnogą Krzesanicy), płynie olbrzymi tuman pary. Chwila — i tak w nim przepadam, jakby mnie kto watą obłożył albo burymi pakułami. O pięć kroków nic prawie nie widać. Górą niby przełęcz majaczeje. Dążę właśnie na Przełęcz pod Kopą Kondracką, by stamtąd skiełznąć w Dolinę Kondratową. Nic więc dziwnego, że majak, który mię uwodzi, obdarzam szczerą przychylnością. A tak się ta pozorna przełęcz zdaje bliska, że ją chyba w pięć minut osiągnę. Lecz okazuje się za chwilę, że to tylko garb na stoku. A przełęcz? Znów jest gdzieś wysoko albo i nic nie widać takiego, co by za nią mogło uchodzić.

Deszcz, mgły i mrok wieczorny sprzysięgają się na mnie zapalczywie. Perć dawno przepadła. Idę przed siebie, rojąc raczej i zgadując właściwy kierunek, niż mając go na oku. Ostatecznie wydobywam się na grzbiet: dalej przepaść, a więc nie jest to moja przełęcz. Jestem zapewne gdzieś pod Kopą Kondracką, przełęcz zaś leży po prawicy i znacznie niżej, A może to Suchy Kondracki i przełęcz jest po lewej? W doliny nie ma po co zaglądać: lita masa mgły przede mną i lita masa mgły poza mną. Pewniebym odnalazł przełęcz i drogę w Kondratową, gdyby tak grzbietem pójść na lewo, na prawo, aż do skutku. Lecz brak mi ochoty. Postanawiam przeczekać tu do rana. Gdy się rozwidni, wówczas i mgły nie będą tak szkodliwe. I zostaję w miejscu nieokreślonym na samotną, chłodną i nieprzejrzaną, a jednak ponętną i kuszącą noc tatrzańskiego włóczęgi.

Ognia rozpalić nie można. Ani kawałka drzewa nie ma w okolicy. Trwa mokra. Lecz deszcz nie pada, a mgły są dosyć suche. Tylko wiatr raz po raz powiewa i bardzo ziębi.

Konstruuję sobie legowisko pod małym wzgórkiem skalnym, który mię częściowo osłoni od wiatru. A konstrukcja to jest nie lada: aby się nie układać na mokrej ziemi i trawie, moszczę miejsce puszkami turystycznymi, które przyniosłem w plecaku, sam zaś plecak przeznaczam pod łopatki, kark i głowę, Najbiedniejsze są nogi. Buty bowiem, choć nowe i starannie tłuszczem napawane, przemokły i zimno w nich, jak w lodzie. Owijam się, czym mogę, kaptur nadziewam na szacowne siedlisko mózgu i, wykonawszy dla rozgrzewki kilkanaście ruchów gimnastycznych, ukła-

dam się, a raczej usiadam do noclegu. Godzina jest dziewiąta. Obliczam, że mi tu wypadnie spędzić ćwiartkę doby. Do trzeciej, może do czwartej rano.

Już wyraźnie pociemniało. Nie odróżniam szczegółów najbliższego otoczenia. Źdźbła wysokie i kabłąkowate, które się przed chwilą chwiały nad strzępiastym, w barwie tylko zabrukanym trawnikiem, znikły oto i stopniały w gęstą, prawie czarną maź.

Przywykam, półsenny już chwilami, do tej waty mgieł szarawo - białych. Zapomniałem niemal zupełnie, że mgły są tylko płaszczem, że opodal góry stoją nieruszyste, że przede mną ubocz spływa w Rozpadlinę, że za mną jest urwisko i że droga pod Łopatę, w Dolinę wiodąca Kondratową, nie może być daleko. Jednolita białość pary niweluje po prostu wyobraźnię i zabija świadomość dna: czuję, że się mgła nie kończy nigdzie.

Wtem zaszumiało nagle poza głową, zasyczało, zaświstało po prawicy: wiatr. Mgła przerzedza mi się przed oczyma w owalne okno. Czarne ciało góry zjawia się oszołomionym i szczęśliwym źrenicom. I powtarza się to dziwowisko co czas niejaki i poczynam do niego tęsknić i czekać go w niesamowitym podnieceniu. Jest bowiem tak ludzkie, jak teofania, i tak zarazem słodkie, jak nagła i bezdenna pieszczota.

20.VII.

Północ minęła przed godziną. Wiatr ustał i już mi nie odsłania gór. Szarość trwa.

Bezruchowi powietrza wydają wojnę oczy i usiłują przewiercić, zszarpać mgłę. Ustalam jednak, że wszystkie zmiany, które dostrzegam, są albo zjawiskami etnoptycznymi, albo należą już do państwa snu.

Pierwszy raz w życiu chwytam obrazy hipnagogiczne na zewnętrznym, poza granicami ciała fizycznie istniejącym tle: na mgle. Jest ona jednak tylko w chwili pierwszej, tylko w zupełnej trzeźwości ekranem. Później ustępuje w niepamięć i nierzeczywistość, a rzeczywistością stają się bladopoziomkowe upłazy, wspinające się z wyrafinowanym wdziękiem i nad wyraz harmonijnie po zielonawym stoku urojonych, niezmiernie wysokich gór.

Śniąc i rojąc, obserwuję tę niezwykłą i naprawdę piękną igraszkę duszy w podziwie i rozkoszy. Zdarzają się chwile samego srebra albo samej bieli. Anhelliczne, zuchwale czyste, puchem śniegu upierzone himalaje wyrastają mi przed źrenicami otwartymi i tak straszliwych sięgają wysokości, że się aż ocykam. Lecz niebawem narzuca mi się nowe dziwo i tak długo rośnie i pięknieje, jak długo obserwację stać na spokój i pokorę.

Śliczna i zaprawdę niebywała noc. Czyżem kiedy na cierpliwych kartach papieru wymalował takie piękno posłusznymi pędzelkami słów? Czy mi się kiedy wiersz podobnie srebrzył albo w taki ogrom jednolitej rozprzestrzenił przedziwności?

Dzień powrócił bez wschodu słońca, jak był wczoraj odszedł bez zachodu. Zimno, jak na biegunie. Zbieram śpiesznie manatki, a przeplatam to zbieranie gimnastyką, aby mi zimnica mięśni nie roztrzęsła.

Gdy ruszamy z miejsca, mgła przewala się olbrzymiemi tumanami na południe. Wiatr wieje w jednym wciąż kierunku i aż trudno wyrozumieć, skąd tyle mgły nabiera. Zamiast rzednąć i znikać, gęsta jest i nieprzejrzana po dawnemu.

W kilka minut odnalazłem perć grzbietową i puszczam się nią w lewo. Wznosi się coraz wyżej, co mię upewnia, że jestem gdzieś pod szczytem Kopy Kondrackiej. Zawracam w prawo i wkrótce staję na przełęczy. Kilka metrów widoku wystarczy, by zejść w Dolinę Kondratową.

W połowie może jestem zbocza, gdy wiatr zwycięża i zaczyna wymiatać mgłę. Dno doliny zalega hala. Już ją widać. Mgły pierzchają całymi pokładami.

Hala śpi. Równa, czysta, wdzięcznie wydłużona, zielona. Dwa konie kończą nocną paszę. Owiec nie dostrzegam.

W kępach kosówki odzywają się ptaki. Jest mi już całkiem ciepło i wesoło.

U wszystkich szczytów mgła. Nieba nie widać, lecz skórą czuję dotyk słońca.

Za godzinę będę w Kuźnicach.

MIECZYSŁAW ORSKI

WIEŚ

Widać przestwór siny przez okiennic serca
rwie się serce naprzełaj, poprzez las, na ugór,
wybiec w pole, w glebę czarną łkająco się wwiercić,
— objąć ziemię orną ramionami pługa.

Wybiec w pole, na łąkę, płaczącą od rosy,
ranek chłodny uścisnąć i drzewa,
polne świerszcze o śpiew ranny uprosić,
poprzez śpiew ten pieśń ziemi przesiewać.

Machnąć dłonią na słońce pyzate,
pełzające, jak liszki po liściach,
ucałować próg chaty przed latem,
czekać lata i czyjegoś przyjścia.

O wsi! Wsi wyśniona, zasadzona serdecznie,
w mojem sercu, pod nimbem świętości—
jakże chciałbym dorastać cię wiecznie,
najserdeczniej, najwsiowiej, najprościej.

JANINA BRZOSTOWSKA

ZA LAT MILIONY

Powieść

(c. d.)

Dla Wili, dla niego i rodzeństwa, dla wszystkich zresztą, stanie się nową towarzyszką życia. Najbliżsi ofiarują jej przyjaźń rodzinną, uczucie tak wiele dające pogody i radości. Będą ją też uczyli zdobywać wszystkie, dostępne dla niej wartości życia.

— Olf! rozległ się naraz zaczepny okrzyk tuż obok zamyślonego strażnika śluz.

To młody mężczyzna, wespół z nim mający dziś dzielić wieczorny dyżur, zastąpił mu drogę. Zwykle w tym miejscu się spotykali, wsiadali do jednego z stojących tu właśnie, na przystanku samolotów, i ruszali ku śluzom.

Pod nimi nikłe światełka bardzo nieznacznie rozjaśniały mroki — aby śpiącym w otwartych mieszkaniach ludziom nie płoszyły wypoczynku. Wszystkie też sypialnie były już zupełnie ciemne — człowiek potrzebuje dużo snu... A złych ludzi, zbrodniarzy, którzyby drugim spokój chcieli zakłócić, nie ma wcale. W sypialniach tych powietrze jest tak samo pełnowartościowe i czyste, jak nazewnątrz mieszkania, dach bowiem i wszystkie ściany dają się dowolnie odsuwać, z czego korzystają ludzie, śpiąc u siebie, a jednak w pełnym powietrzu, nie zubożonym, jak w zamkniętych dawnych mieszkaniach, przez ich własne oddychanie.

Unosili się niezbyt wysoko — nie było zwyczaju ani potrzeby odbywania lotów zbyt wybujałych. Pod sam strop wzbijali się tylko początkujący, szukający wrażeń lotnicy.

Nie było nigdzie śladu brzydoty, brudu, nieporządków dawnych miast. Mijali już obszary mniej zabudowane, pola uprawne... Przelecieli nad puszczą... Naraz samolot zatrzymał się. Byli przed olbrzymimi zasuwami pierwszych śluz. One to z mroźnych przestrzeni ziemi czerpały powietrze dla dziedzin zamieszkałych. Przez nie zmieniano je ustawicznie, ogrzewając zresztą zaraz i zasilając tlenem, jako zbyt rzadkie. Pracowały sprawnie, potrzebowały jednak stałej kontroli człowieka.

Wiedział Olf, i jego towarzysze wiedzieli jak odpowiedzialna jest praca przy śluzach. Każdy z nich miał na swym posterunku zawsze, każdej chwili aż dwóch zastępców, aby w razie wypadku czy niespodziewanego osłabienia mogli go zastąpić. Od ich pracy, od ich sumienności zależało przecież istnienie życia na ziemi.

Gdyby bowiem przypadek jakiś wpuścił to naturalne, nieogrzane powietrze, szczególnie w porze zimowej w dziedziny człowieka, musiałby on zginąć, choć posiadał swe stroje i wyekwipowanie na wyprawy poza obręb przez siebie zamieszkały. W strojach tych można było jakiś czas żyć na wycieczce — ale nie stale w nich się poruszać, praco-

wać i przebywać w przeraźliwie zimnym i rzadkim powietrzu. Tego by człowiek nie zniósł. Dlatego przecież zbudował sobie osobną dziedzinę, osłonił część ziemi od śmiercionośnego oddechu wiecznych mrozów.

I dlatego też musiał teraz pilnować swych śluz, bram w krainę wiecznego mrozu, jak niegdyś pilnował wiecznego ognia... Najmniejsza w ich pracy niedokładność mogłaby przynieść nieobliczalne i groźne skutki.

* * *

Nastała teraz pora, jedyna w roku, kiedy to wszystkim wolno wyruszyć poza przestrzenie zazwyczaj zamieszkałe, i wędrować oraz uprawiać sporty w zwrotnikowym pasie ziemi, którego temperatura teraz właśnie możliwa będzie do zniesienia, podwyższy się bowiem w niektóre dni aż do 20 stopni mrozu... a naogół wahać się będzie między 20 a 40 stopniami.

Cieplejsze dni będą jednak przeważały, i na nie to przygotowano już całe serje wycieczek, rozrywek, dalekich biegów ślizgowych po powierzchni najbliższego morza, które już nigdy, nawet w tej letniej porze nie odmarzało.

Teraz też czynne tu będą przedewszystkiem placówki naukowe, najowocniej, bo najswobodniej pracujące na wolnym powietrzu, a badające warunki atmosferyczne na Nowym Globie. Ścisła ich znajomość potrzebna jest, i to bardzo, uczonym opracowującym plan nowej wyprawy na tę najgościnniejszą bądź dla ziemian planetę.

Poza tym letnim okresem trudno byłoby zwykłym śmiertelnikom, nawet w najlepszy ekwipunek zaopatrzonym wyprawiać się poza obręb zamieszkały i sztucznymi słońcami ogrzewany. Niepotrzebna strata energi życiowej musiałby być następstwem takich wycieczek, — na to nie wolno było sobie pozwalać.

A okresy poza latem bywały mroźne! O i jak mroźne! Nawet tu, na ziemiach dalekich od obu biegunów, w zupełności prawie w równikowym pasie leżących, 100 stopni mrozu — to była stała, przeciętna temperatura tych okolic.

Skoro tylko ogłoszono, że przejścia na odkryte tereny zostały otwarte, liczne grupy ludzi po raz pierwszy tego roku wyruszyły poza obręb swoich siedzib.

Długimi oszklonymi kurytarzami wychodzili jedni z pewnym lękiem i ostrożnie, drudzy z ciekawością, na białą przestrzeń okrytą skrzącymi się różowo w blasku słońca kryształami śniegu i lodu. Cień każdego większego bloku lodowego czy wzgórza odcinał się głęboką siną barwą od jaskrawej białości wiecznych śniegów.

Daleko, na północo-wschodnim widnokręgu piętrzące się pasmo gór zamykało z prawej strony rozległe pole widzenia. Z lewej, na południowy zachód, aż po horyzont ciągnęła się biała płaszczyzna, krajobraz jasny i mroźny.

Wszyscy wychodzący przystawali olśnieni otwartym widokiem. — Choć znali go z poza przejrzystych szyb ostatniego z potrójnych kurytarzy, ota-

czających dziedziny zamieszkałe, jakże inny wydał się teraz, gdy znaleźli się w bezpośrednim z nim zetknięciu!

Nawet gdy nie pierwszy raz spotkały go oczy onieśmielał i zadziwiał. Cóż dopiero mówić o tych, którzy jako najmłodsi czy bardziej wrażliwi teraz dopiero oglądali ziemię odkrytą i wolną, w całym jej majestacie! Stawali, patrzyli.

Narazie zawsze ten otwarty kawał ziemi przedstawiał się oczom posępny. Ludzie też zrazu, choć ciepło, lekko i wygodnie ubrani,poruszali się na nim niepewnie.

Powietrze było tu rzadsze, wielkie ilości tlenu ulotniły się już w przestrzenie międzyplanetarne, a nie stosowano, jak na terenach zamieszkałych, urządzeń nasycających powietrze tlenem. Dlatego też wszyscy nosili na sobie odpowiednio skonstruowane pasy, tlen dokoła każdego wycieczkowicza produkujące, a zarazem nieznacznie ogrzewające.

Ale ruch i życie zwalczają posępność. Doświadczeńsi z przybyszów, ci, co już niejednokrotnie tu bywali, (codziennie w tym wakacyjnym okresie każdy człowiek pracujący miał prawo spędzić tu conajmniej cztery godziny) poczęli próbować na lśniącym twardym śniegu swych sanek motorowych, wszelkiego rodzaju nart i ślizgowych płaskich łodzi, także motorowych, nieznacznie ogrzewanych, przeznaczonych na dalsze wyprawy.

Dla amatorów znalazły się ślizgowe żaglówki-limuzyny, typu starożytnych bojerów — można było w nich żaglować po lodowej powierzchni zastygłego morza czy po białej powierzchni lądu. Drżały wówczas na lekkim wietrze i syczały metalowymi płozami, nurzając się w bieli głębokich śniegów.

Wszystkie te pojazdy i przyrządy służyły człowiekowi by go skłonić do hartującego i silniej związującego włókna mięśniowe ruchu na śnieżnych terenach. Wszystkie snuły za sobą szarawe ślady, tworząc taśmy letnich traktów wycieczkowych. Każdy bowiem następny pojazd, by sobie drogę ułatwić, pojedzie za tymi pierwszymi śladami.

Nad ziemią unosiły się nieobmarzające samoloty i wirowce, pionowo w górę unoszące ciekawych, pragnących z pomocą dalekosiężnych szkieł objąć jaknajszersze horyzonty.

Zapach śniegów, rzeźwy i czysty, doskonale działał na nerwy człowieka. Śniegi parowały jeszcze wciąż, wydzielając ożywczy tlen, którego ilość przy użyciu pasów tlenowych stawała się zupełnie wystarczająca.

Zazwyczaj w tych okolicach wiał lodowaty wiatr, huczący nieraz tak głośno nad stropem ludzkich dziedzin, że słuchali go ludzie z przerażeniem. Jego taniec zmiatał najwątlejszą nawet chęć istnienia ze śnieżnych pustkowi.

Teraz, o tej porze roku wiatr był nad zwrotnikiem najsłabszy — niekiedy przycichał zupełnie. Dziś także wstrzymał swój lodowaty oddech — aby nie przeraziło ludzi tchnienie ogromnej białej pustyni. Pogoda była nawet wyjątkowo łagodna i piękna.

Coraz to nowe grupy ludzi albo i pojedyncze figury wysuwały się naprzód na lekkich pojazdach. To odważniejsi wyruszali na małe wycieczki.

Nie było to niebezpieczne. W zlodowaciałym śniegu co krok przygoto-

wane były schrony dla wygody wycieczkowiczów, każdej chwili dające się ogrzać, wyłożone kaflami z grubego szkła, zaopatrzone w pożywienie, przyrządy do filtrowania wody i piece automatyczne, na których można będzie przyrządzić posiłki. Ciągnęły się one aż wgłąb śnieżnych obszarów, gdyż niektórzy ciekawsi przybysze wybierali się nieraz dość daleko, aż pod owo pasmo poszarpanych gór na horyzoncie, czy na przeciwległy, malowniczy brzeg zachodniego oceanu.

Narazie musieli odłożyć spełnienie swych zamierzeń na późniejsze dni, gdyż nie wolno było w ciągu pierwszego tygodnia wakacyj wyruszyć za daleko, ani zbyt długo przebywać w tych zimnych okolicach.

Znaleźli się i tacy, którym trudno było zabierać się do jakichkolwiek wycieczek, rozrywek czy sportów. Widziany krajobraz oszałamiał ich i przejmował niezwykłymi uczuciami.

Nikt ich jednak nie wyśmiewał, tak jak nikt nie pragnął mącić spokojnego zachwytu wrażliwszych towarzyszy złośliwościami, wyśmiewaniem czy krzywdą.

Bo też nie możnaby zaprzeczyć że osobliwy tu przed oczyma mieszkańców zacisznych dziedzin ludzkich roztaczał się widok, a z wysoka podkreślające jego przedziwność czerwono-złociste słońce nie mniej niż sam krajobraz niepokoiło patrzących.

Niektórzy z nich, zanim tu przybyli, dobrze przedtem rozpatrzyli mapy ziemi, szczególnie tych okolic. Były one zupełnie inne niż mapy starożytne, takie jakie znano w początkach rozwoju cywilizacji, bo jeszcze nie kultury człowieka.

Przedewszystkiem obszary mórz, a więc i tego, najbliższego, które teraz tworzyło białą płaszczyznę w lewej stronie krajobrazu, zmniejszyły się wskutek powolnego wprawdzie, ale miliony lat już trwającego parowania wody i obsychania brzegów.

Pozatem wówczas, na owych starożytnych mapach, istniała jeszcze część lądu azjatyckiego, bardzo silnie rozczłonkowana i urozmaicona, zwana Europą. Teraz nie było jej już na mapach. Zapadła i skryła się pod Atlantyk. Ludy jej — ponieważ katastrofa odbywała się częściami i stosunkowo powoli, wyemigrował do Azji, przyczym ludy słowiańskie, z natury łagodniejsze i mniej krwiożercze, zaciekłe walki toczyły z zabarczością ludów germańskich o miejsce pod słońcem.

(c. d. n.)

JADWIGA WAŻEWSKA

STAŁA KLIENTKA

Panna Anna najchętniej chodzi do fryzjera
Gdy mży deszczyk — zapowiedź całodziennej
słoty —
Fryzjer, gnąc się w ukłonach, drzwi przed nią
otwiera,
Czesze pilnie jej bujne, siwiejące sploty.

Długo wodzi grzebieniem, splątany włos dzieli,
Wszczyna dyskurs o aurze — gaworzy — bajdurzy...
Panna Anna, opadłszy na poręcz fotelu,
Patrzy w pustkę — podobna do „zbielałej róży".

Lecz gdy grzebień włos muska i gładzi i głaszcze,
Jest jej rzewnie i słodko — jak w niebie sierotom,
Jakby fala, płynąca po włosów jej płaszczu,
Ogarniała ją całą kojącą pieszczotą.

A gdy rurki rozgrzane we fryzjera dłoni
Suną ostro po włosach dymiącym żelazkiem,
Panną Anną dreszcz wstrząsa i w uszach jej dzwoni,
Jakby prąd elektryczny przebiegł po niej z
trzaskiem.

...To nie grzebień kark muska! nie rurka skroń
parzy!
Fale wzruszeń minionych znów w serce jej biją!
Panna Anna powieki przymyka i marzy,
Nieruchoma — deleka — z wyciągniętą szyją.

— — — — — — — — — — —

Potem idzie na miasto i długo się błąka,
Człapiąc poprzez ulice błotniste, ponure...
Cała mgłami i łzami i słotą nasiąka...
— Jutro wróci — zniszczoną „poprawiać" fryzurę!

NELA GAJZLERÓWNA

NOWINA

U ciemnych stołów
mieli straż ponurą,
gdy na zimnych czołach
stanęła im chmurą.

Ręce ich rozwidlone
o palcach wygasłych
w twarze nieruchome
wparły się z trzaskiem.

Gdy oczy nagie
o ślepych piorunach
mierzyły w towarzysza,
który stał jak struna.

WILLIAM BUTTLER YEATS

DRUGA TROJA*)

Mam—że ją winić, że moim kolejom
przyniosła nędzę? że mogła do zbrodni
wieść cie nnych ludzi, co nie rozumieją?
lub skroś dróg wielkich wbiła wąski chodnik?
Przeez są ich serca w odwagę ubogie?
Czyliż ją można poskromić, jeżeli
umysł — szlachetna — prosty ma jak ogień,
jak łuk napięty piękność, a nie dzieli
— wzniosła, samotna i z duszą ponurą —
prawd tego wieku, dziwna w dobie swojej.
I cóżby robić mogła z tą naturą?
Czy do spalenia miała drugą Troję?

z oryginału angielskiego przełożyła

Julja Wieleżyńska

---

*) Ten wiersz zmarłego niedawno znakomitego peety-mistyka, odnosi się do jego ojczyzny, Irlandji.

Z KSIĄŻEK

Język Polski na południe od Karpat — (Spisz, Orawa, Czadeckie, Wyspy językowe). Miecz. Małecki, Bibl. Tow. Miłośników Języka Polskiego.

Mową ludu polskiego na południowym Podkarpaciu i w gorach karpackich zajmuje się w niewielkiej swej, ale bardzo interesującej książce znany dialektolog M. Małecki. Charakteryzuje on naukowo, ale jednocześnie w sposób przystępny dla każdego interesującego się tymi sprawami czytelnika, najważniejsze właściwości dialektów polskiego ludu górskiego, który od wieków politycznymi granicami oddzielony od Macierzy, zachował mimo to jej mowę, i tym samym najistotniej świadczy o polskości tych gór.

W wsiach, które wymienia autor, mimo że są za kordonem, Polacy mieszkają po dziś dzień w 90%, a trzeba tutaj dodać znany fakt, że pewien procent polskiej ludności góralskiej mieszka także po różnych wsiach i miasteczkach np. słowackiego Liptowa, oraz w słowackiej części Spisza i Orawy, to też liczbę naszej ludności, mieszkającej na Słowaczyźnie poza zwartym obszarem etnograficznym, możemy ocenić conajmniej na 25 tys.

„Zapewne — pisze autor — niezbyt duża to liczba, ale przecież i ona świadczy o wielkiej prężności polskiej na południe, czego nie można powiedzieć o ludności słowackiej w kierunku północnym".

J. Brzostowska.

Edwin Jedrkiewicz — „Droga z Martyniowic" — Wyd. F. Hoesick, W-wa 1939 r.

Edwin Jędrkiewicz, autor fantastycznych „Świątków i Centaurów", w ostatniej swej powieści p. t. „ Droga z Martynowic", przeszedł do wnikliwej analizy psychologicznej.

Zagadnienie prawdy życia, problem rozwiewania się złudzeń młodzieńczych w miarę spostrzegania tej prawdy, oto kościec, dokoła którego zbudowana jest akcja „Drogi z Martynowic".

Martynowice, małe, kresowe miasteczko polskie, położone na Huculszczyźnie, staje się symbolem zakłamania, ciasnej, dusznej atmosfery. Ludzie martynowiccy pławią się w niej i nie czują niemoralności swego postępowania, póki czyny ich okrywa płaszczyk hipokryzji. Biada jednak temu, czy tej, którąby chciała postępować otwarcie.

Zjawienie się na terenie martynowickim niejakiego Ocela, dependenta adwokackiego w kancelarii Grosherna, jego niezręczność towarzyska i uczciwość połączona z pewną nieznajomością ludzi, bu-

dzi z letargu duchowego młodą wdowę, nauczycielkę szkoły powszechnej w Martynowicach. To biedne, zahukane, terroryzowane i wyzyskiwane przez wszystkich stworzenie, ta symbolicznie tak nazwana pani Tosia Chwacikowa, zaczyna nagle rozumieć otaczający ją świat, zaczyna spostrzegać, że nie wszystko dzieje się na nim tak jak ją uczono w szkołach.

Sprawa niewinnie o kradzież posądzonej i na pół roku więzienia skazanej Hanki, gdzie motywem wyroku był najprawdopodobniej li tylko zły humor sędziego, spowodowany porażką tegoż na polu erotycznym, jest ostatnią kroplą, która przelewa czarę goryczy i zwątpienia Chwacikowej, otwiera jej oczy, na istotną prawdę życia.

Dalsze perypetie Chwacikowej, otarcie się jej losu o smutne koleje niejakiego Olesia, tragicznego wykolejeńca, który kończy samobójstwem, wreszcie związanie się jej z Ocelem oto treść końcowych rozdziałów tej powieści.

Ocel nie był człowiekiem na miarę martynowicką, to też traci posadę u Grosherna, i opuszcza Martynowice.

Dla obojga otwiera się więc symboliczna droga z Martynowiec, droga z zakłamanego świata ku prawdzie.

Powieść pisana jest językiem zwartym, w dialogach stosowany jest dialekt wschodnio-małopolski.

Wacław Grubieński „Listy pogańskie". Wyd. F. Hoesick, W-wa 1939 r.

Wytworny stylista, nowelista i dramaturg, Wacław Grubiński zwrócił się ostatnio do antyku po temat do swego zbioru „Listów pogańskich.

Temat, zdawałoby się już zużyty i wyczerpany, bo wszak z antyku od setek lat, w nawrotach, czerpie tematy i idee myśl ludzka.

Jednak podejście i sposób ujęcia znajduje Grubiński zupełnie nowe i oryginalne. Pominąwszy formę fragmentów listów wygnańca rzymskiego, osiadłego przymusowo w Palestynie, wprowadzenie zupełnie niespodziewanie postaci Koroiwy, kupca i filozofa japońskiego, który z nieznanym jeszcze zupełnie światu rzymskiemu jedwabiem zawędrował aż do Palestyny, nadaje utworowi temu specjalnej pikanterii.

Każdy list, lub raczej każdy fragment, wnosi z sobą coś nowego i niespodziewanego. Ponury cień Tyberiusza przeplata się z czarownymi bajkami japońskimi Koroiwy, rozmowy solistów greckich z rozmowami mędrców żydowskich o beznadziejnym zazwyczaj zabarwieniu, z przypowieściami włożonymi w usta Magdaleny.

Gdy sam piszący wygnaniec zatraca się w treści swych ilstów, występują zato bardzo plastycznie postacie Piłata, Antipsa Heroda, Herodiady i Salome, majaczą w tle Jan Chrzciciel i Nauczyciel, pragnący świat odrodzić przez uczucie.

Fantazja autora, wiążąca w całość tak różne, zdawałoby się i niewspółmierne tematy, działa ożywczo na czytelnika i czyni „Listy" zajmującą lekturą. *Wanda Pogonowska*

PLEBISCYT

„KOGO NIE WOLNO POMINĄĆ W ANTOLOGII POEZJI POLSKIEJ 1918—1940".

Zwracamy się do wszystkich czytelników Skawy z apelem, aby nam dopomogli w decydującym i ostatecznym uzupełnieniu będącej w opracowaniu „Antologii Poezji Polskiej 1918 — 1940". Aby nie pominąć nikogo, kto w tej antologi znaleźć się powinien, rozpisujemy plebiscyt, którego waruniki podajemy poniżej.

WARUNKI PLEBISCYTU:

1) **Każdy czytelnik** „Skawy" może wziąć udział w plebiscycie, pod warunkiem załączenia do odpowiedzi kuponu wyborczego. Kupony zamieszczone będą we wszystkich numerach Skawy w miesiącach marcu, kwietniu i maju.

2) Każdy kupon upoważnia do nadesłania odpowiedzi z wymienieniem trzech autorów, oraz ewentualnie trzech ich utworów. Do odpowiedzi załączyć można uzasadnienie wyboru wierszy (bardzo pożądane, ale nie konieczne), które nadsyłający uważa za tak dobre, że powinny być zamieszczone w antologii. Poeta umieszczony na pierwszym miejscu otrzymuje w ostatecznym obliczeniu 15 punktów, na drugim 10, na trzecim 5. Odpowiedzi bez kuponów będą nieważne.

3) Głosowanie może być jawne (należy podać nazwisko i adres) lub anonimowe (nazwisko i adres w zalakowanej kopercie dołączonej do odpowiedzi). Koperta będzie otwarta tylko w razie przyznania nagrody. I nagroda wynosić będzie zł. 50, II-ga 10 cennych, wybranych przez redakcję książek, III i IV po 5 książek. Listę książek zamieścimy w nast. nrze. W razie kilku jednakowych odpowiedzi nagrody przydzieli się przez losowanie.

4) Na podstawie ilości otrzymanych punktów w numerze **czerwcowym Skawy** podamy spis pisarzy, których czytelnicy chcieliby widzieć we wzorowej antologii poezji polskiej ostatniego dwudziestolecia, oraz wymienione przez głosujących tytuły ich utworów. Zastrzegamy sobie również podanie niektórych ciekawszych uzasadnień.

Odpowiedzi należy nadsyłać pod adresem **„Skawy", Warszawa, Nowogrodzka 23 m. 5.** Za odpowiedzi najbardziej zbliżone do idealnej listy poetów (tych, którzy otrzymali najwięcej punktów) rozdzielone zostaną nagrody książkowe.

LISTA KSIĄŻEK PRZEZNACZONYCH NA NAGRODY W PLEBISCYCIE

MORZE W POEZJI POLSKIEJ — Antologia poezyj marynistycznych. Zebrał Z. Jasiński. Nakł. Głównej Księg .Wojsk .(2 egz).

Fr. Hackett — Henryk VIII. Wyd. J. Przeworski. 1939 r. (2 egz.).

Paweł Hulka — Laskowski — Śląsk za Olzą, Wyd. Instytutu Śląskiego 1938 r. (2 egz.).

Dr. Józef Putek — O zbójnickich zamkach, heretyckich zborach i oświęcimskiej Jerozolimie. Kraków 1939 r. (2 egz.).

Marian Sulima — Panna Ewa, W-wa, F. Hoesick, 1939 r.
Aleksander Jackiewicz — Człowiek i jego cień, W-wa, F. Hoesick 1939 r.
Jan Rzewnicki — Moje przygody w Tatrach, W-wa, F. Hoesick. 1939 r.
Janina Brzostowska — Kobieta zdobywa Świat, W-wa, F. Hoesick. 1939 r.
Vladimir Zmeskal — Łużyce w obrazach, Poznań 1938 r.
Adolf Nowaczyński — Młodość Chopina, W-wa, Rój, 1939 r. (2 egz.).
Georges Duhamel — Kronika rodu Pasquier, 5 tomów, W-wa, Gebethner i Wolff. 1939 r.

Oraz nagroda piąta: roczna prenumerata „SKAWY".

Zaznaczamy, że nie należy nadsyłać odpowiedzi w rodzaju: Tuwim, Wierzyński... i. i. (a takich właśnie sporo otrzymujemy), gdyż autorzy ci i tak pominięci nie zostaną. Chodzi raczej w/g pytania plebiscytowego o poetów mniej znanych czy młodszych, a doskonale piszących. Redakcja bowiem w doborze autorów będzie brać pod uwagę nadesłane odpowiedzi, i powinny jej one pracę ułatwić, a nie utrudnić.

Dotychczas na liście naszego Plebiscytu ".Kogo nie wolno pominąć w nowej Antologii Poezji polskiej 1818—1940" znalazły się nazwiska następujących poetów:

Bieńkowski Zbigniew, Broniewski Władysław, Brzękowski Jan, Brzostowska Janina, Brzegowski Franciszek, Czerkowska Maria, Czernik Stanisław, Czuchnowski Marian, Daukszta Olga, Dobrowolski Stanisław Ryszard, Fierla, Gajzlerówna Nela, Gałczyński Konstanty Ildefons, Gałuszka Józef Aleksander, Gołębiowski Stefan, Iłłakowicz Kazimiera, Iwaszkiewicz Jarosław, Janczarski Czesław, Jasnorzewska Maria, Jaworski Kazimierz Andrzej, Kuglin Wincenty, Kubisz Paweł, Kurek Jalu, Lechoń Jan, Lurczyński Mieczysław, Łopalewski Tadeusz, Mrozowski Wacław, Obertyńska Beata, Pietrkiewicz Jerzy, Piętak Stanisław, Przyboś Julian, Tuwim Juljan, Tetmajer Włodzimierz, Sebyła Władysław, Świeżawski Ludwik, Staff Leopold, Szewczyk Wilhelm, Sowiński Kazimierz, Szymański Edward, Wierzyński Kazimierz, Wittlin Józef, Zegadłowicz Emil.

U PISARZY I W REDAKCJACH

Treść zeszytu JĘZYKA POLSKIEGO za marzec-kwiecień 1939: Początek rozprawy T. Milewskiego: O zakresie i przedmiocie badań stylistycznych. T. Lehra-Spławińskiego: Polskie „chłonąć, otchłań", z dodatkiem K. Nitscha: „ochłonąć" — „ochłodnąć". T. Estreichera: Z dziejów polskiego słownictwa chemicznego. — Recenzja A. Obrębskiej-Jabłońskiej: o „Języku polskim w Stanach Zjednoczonych A. P.". W. Doroszewskiego. Notka o wydaniu Psałterza floriańskiego przez W. Taszyckiego i L. Bernackiego. — Odpowiedzi Redakcji w sprawie zwrotu: „dać komu rady" czy „radę" i w sprawie przymiotników: „kuciński, kutnowski, lipnowski". — Sprawozdanie Towarzystwa Miłośników Języka Polskiego za r. 1938.

„Obrona Kultury" z dnia 15 kwietnia przynosi w ostatnim numerze: Red. „Kultura jest także źródłem siły", prof. St. Kutrzeba: „Cywilizacja polska jako typ historyczny", Jerzy Przywieczerski: „Koniec Czechosłowacji i praca słowiańska", F. A. Ossendowski: „Grattez un peu et vous trouverez un Tarttare", Karol Górski: „Źródła kultury polskiej — Polsko niemieckie oddziaływanie kulturalne", Przegląd „Z tygodnia na tydzień" i w. i.

„W młodych oczach" kolumna literacka ost. nru wileńskich „Spraw otwartych" zawiera m. i. „Dokąd iść" Józefa Machejka (rozważania na temat poezji) „Autor — redaktor — zecer" czyli rozprawa korektorska, żywo napisana, „Perły chwil" (o nowych poezjach Janiny Brzostowskiej), piękny wiersz J. Czerniego „Tango", J. Koprowskiego „Przystań", Fr. Lipińskiego „Stracone miejsce" i. w. i.

Wystawa dzieł literatek polskich w Ameryce. Na prośbę amerykańskich organizatorek Wystawy w Bibliotece Femina. Rada Narodowa Polek przesłała do Nowego Jorku, za pośrednictwem Rady Międzynarodowej Kobiet listę najwybitniejszych literatek polskich w liczbie 20-tu. Nazwiska reprezentowanych na liście literatek ustalono na podstawie porozumienia Sekcji Literatek Pol. Zjednoczenia Kobiet Pracujących Zawodowo z władzami Pol. Akademii Literatury oraz z instytucjami, które udzielają nagród literackich. Okazuje się, że na 20 wybitnych literatek odznaczono w ciągu ostatnich 5 lat (od 1933 r.) 13 pisarek, które otrzymały nagrody państwowe, miejskie i różnych fundacji literackich. W porządku alfabetycznym znalazły się na liście pp. Helena Boguszewska, Wanda Bohdanowiczowa (nagr.), Janina Brzostowska, Maria Czapska (nagr.), Maria Dąbrowska (nagr.), Pola Gojawiczyńska (nagr.), Kazimiera Iłłakowiczówna (nagr.), Maria Jasnorzewska (nagr.), Wanda Karczewska (nagr.),

Zofia Kossak (nagr.), Maria Kuncewiczowa (nagr.), Hanna Malewska (nagr.), Wanda Melcer, Wanda Miłaszewska (nagr.), Maria Morozowicz-Szczepkowska, Herminia Naglerowa, Zofia Nałkowska (nagr.), Maria Rodziewiczówna (nagr.), Ewa Szelburg-Zarembina, Maria Jehanne-Wielopolska.

(„Obrona Kultury" nr. 8).

KSIĄŻKI I CZASOPISMA NADESŁANE.

Rosa Bailly-Pastorale de la Maladette, Paris, Ed. De la Forge, 1939.

Ignacy Fik — Dwadzieścia lat literatury polskiej, Kraków, 1939 r.

Nela Gajzlerówna, — Chałupnicy, poezje, W-wa, Hoesick, 1939 r.

Franciszek Lipiński — Kraków stary, Kraków 1936 r. Nakład „Natura isztuka".

Franciszek Lipiński — Cherubinowy Lament, Kr. 1935.

Franciszek Lipiński — Symfonia prometejska, Kraków 1935 r.

Franciszek Lipiński — Wrażenia, 1930 r. Katowice Nakład. Księgarnia „Stella".

Mieczysław Małecki, — Język polski na południe od Karpat, W-wa, Tow. Miłośników języka polskiego. Gebethner i Wolff.

Władysław Okrzewski — Witold Panta — Słowa oczekiwane, poezje, Kraków 1938.

Reiner Maria Rilke — Przekład L. Lewina. W-wa, Hoesick, 1939 r.

Stanisław Romański — Sądy Wawelskie, Rapsod nocy majowej. Wilno, 1938 r.

Franciszek Surówka-Brzegowski, — Horyzonty, Poezje, W-wa, Hoesick 1937 r.

Franciszek Surówka-Brzegowski, — Legenda frasobliwa, W-wa, Hoesick 1939 r.

Urywki języka Ig. Krasickiego, Bibl. Miłośników Języka Polskiego. W-wa, Gebethner i Wolff.

Janina Zabierzowska — Myśli na zwiady, Poezje, W-wa, Skł. Gł. Michalak i S-ka, 1939 r.

Włodzimierz Żelechowski — Przygody pechowego Don Juana, W-wa, Skł. Gł. Michalak i S-ka, 1939 r.

Ateneum — nr. 2 (8) 1939 r.

Echo obcojęzyczne — W-wa, luty 1939 r.

Język polski. — Marzec — Kwiecień 1939 r.

Kamena, r. VI. nr. 7.

Kleka, tyg. Wielkiego Pomorza. Wejherowo.

Kultura, tyg. Poznań.

Mosty, dwut. lit. - społ. W-wa.

Mój pies, mies. W-wa.

Obrona kultury, W-wa. 15.IV.1939 r.

Okolica poetów, nr. I. 2, i 3 (42). Ostrzeszów Wlkp.

Przyjaciel Podlasia, Siedlce.
Ruch Polesia, Brześć n.B.
Sprawy Otwarte, Wilno nr. 4. rok II.
Szkwał, mies. morski, W-wa.
Sygnały, dwut. Lwów.
Wiry, dwut. lit. W-wa.
Zwierciadło, mies. W-wa.
Życie literackie — Org. Tow. Polonistów R. P. W-wa, 1939. Z. I.

„ERRATA" DO N-RU 4-TEGO

str. 5, wiersz 37 jest „żądania" ma być: „zadania"
str. 12, wiersz 4 jest „Z wszystkiego" ma być: Ze wszystkiego"
str. 12, wiersz 20 jest „z drugim" ma być: „z drugiem"
str. 12, wiersz 23 słowa „Ja już nie czuje" mają się zaczynać a linea,
str. 12, wiersz 33 jest „wojowniaka" ma być: „wojownika".

KUPON PLEBISCYTOWY

« S K A W Y »

Kto pragnie z pismem wejść w kontakt, musi je przedewszystkiem zaprenumerować!

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI:
WARSZAWA, NOWOGRODZKA 23 m. 5 TEL. 9-55-88

Ceny ogłoszeń: cała stronica poza tekstem — 120 zł. w tekście — 140 zł., jeden milimetr szer. szpalty — zł. w tekście i poza tekstem.

Druk „Odrodzenie" Marszałkowska 52 tel. 9-04-10